

JEAN
D'ORMESSON



MĘZCZYŹNI
ZA NIĄ
SZALEJĄ

MARGINESY



Ich Wysokości ze schowka

Jedną z najbardziej zagadkowych oraz stałych funkcji czasu jest podnoszenie przypadku do rangi nieuchronności. Świat zmierza naprzód dzięki spotkaniom, które upływ czasu zamienia w zrządzenie losu. Kiedy młodzi Romerowie, nieznośni synalkowie ambasadora Argentyny w Anglii, osiągnęli wiek piętnastu–dwudziestu lat, stało się zupełnie oczywiste, że w czasach szybkości i automobilu, po Tannenbergu i Verdun, po straceniu rosyjskiej rodziny carskiej w Jekaterynburgu dalsze pozostawianie ich pod opieką skołowanej guwernantki zakrawa na lekką śmieszność. Jedną z najbardziej ujmujących cech Aureliana Romery i jego żony Rosity, z domu Finkelstein, była lojalność. Pośród wstrząsów, które przyniósł ze sobą pokój, nie tak okrutnych, lecz bardziej przygnębiających aniżeli zamęt wojny, przyszłość miss Prism leżała im bardzo na sercu. Cudownym zrządzeniem losu Brian i Hélène O'Shaughnessy'owie, mieszkający w Szkocji w sławnym zamku Glangowness, szukali akurat dla swoich czterech córek, urodzonych jedna po drugiej podczas wojny i zaraz po jej zakończeniu, osoby doświadczonej i godnej zaufania. Tym sposobem miss Evangeline Prism, która

wprawdzie sama nigdy nie obcowała z żadnym mężczyzną, ale pod koniec ubiegłego i w początkach naszego wieku wyprowadzała cudze dzieci na spacer po Waszyngtonie, Buenos Aires i Paryżu, by na koniec wrócić do swojej pocziwej starej Anglii, przeszła od synów Romerów do córek O'Shaughnessych. Nie domyślała się, jaką rolę i historyczną odpowiedzialność, niczym chór w tragediach greckich, tym samym na siebie bierze. W jej rudowłosej osobie i pod jej niewinnym okiem dokonywało się zespolenie linii Wrońskich i Finkelsteinów, Romerów i O'Shaughnessych.

Mimo napadów nagłej płochliwości i powierzchowności starej panny, zawsze jakby nieco zalęknionej i zagubionej w świecie dorosłych, Evangeline Prism bynajmniej nie była głupia. Dość szybko zorientowała się, co łączy, a co dzieli czterech chłopców Romerów i cztery panny O'Shaughnessy. Nie trzeba było być marksistą – a ona nie znała nawet nazwiska autora *Kapitału* – by odkryć pierwszy i najważniejszy z punktów wspólnych obu rodzinom: i jedna, i druga miały pieniądze. Nie były to takie same pieniądze, nie była to taka sama fortuna, ale wszyscy oni znajdowali się po tej samej stronie barykady. Z punktu widzenia Ewangelii – złej. W oczach świata – właściwej.

Dobra O'Shaughnessych były znacznie dawniejsze od dóbr Romerów. Niuans ten znajdował swe odbicie nawet w warstwie słownej: Romerowie mieli pieniądze, natomiast potomkowie McDuffów, McNeillów, Landsdownów, królów Irlandii, kilku z grona najbardziej wyrafinowanych hinduskich maharadzów, a możliwe, że również króla Artura i czarodzieja Merlina – mieli majątek. Towarzystwo różnica ta dawała O'Shaughnessym wielką przewagę,

czego Romerowie – i Finkelsteinowie – pierwsi byli świadomi. Jednak sprawy nigdy nie przedstawiają się tak prosto, jak można by sobie wyobrazić. Z historycznego punktu widzenia Romerowie pieli się w górę, natomiast O'Shaughnessy staczali w dół. W wieku trzech czy pięciu lat siostry O'Shaughnessy były bez wątpienia trochę jeszcze za małe, by sięgać takich wyżyn metafizyki i socjologii. Ale Brian i Hélène, skądinąd nieżyjący żadnych ambicji intelektualnych, byli na tyle pojętni, by niejasno domyślać się funkcjonowania owej huśtawki.

Czuła to również miss Prism. Pchając po ulicach Buenos Aires wózek pełen ciemnych główek, była świadkiem narodzin potęgi przemysłowej Romerów; wiedziała, jaką żelazną ręką Conchita Romero, matka Aureliana i babka czterech chłopców, dzierży interesy, a zarazem rodzinę. Nie miała natomiast pojęcia o materialnych i moralnych wzlotach i upadkach Wrońskich i O'Shaughnessych, jakie kryła w sobie przeszłość Hélène i Briana.

– Czy to chociaż ludzie na poziomie, madame? – zapytała Evangeline Rositę Romero, kiedy powstała kwestia jej transferu do Glangowness.

– Absolutnie – odpowiedziała Rosita. – Jak najbardziej na poziomie.

– Na takim poziomie jak państwo? – dociekała miss Prism.

– To rodzina starsza od naszej – odrzekła z pewnym przymusem Rosita.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedziała miss Prism, powstrzymując łzy na tę straszną myśl, że opuści swoich chłopców.

Były to jeszcze czasy, kiedy ziemia i kamień należały do najbardziej solidnych i godnych pozazdrosczenia wartości na świecie. Glangowness trwało nieporuszone. Podobnie wrzosowiska. Drzewa, owce, konie, hotel w londyńskim West Endzie, a ze strony Hélène i jej babki Marie piękny dom na Giudecce w Wenecji – wszystko to mimo wojny i poległych, i bolszewików wydawało się nie do ruszenia. Reszta... Kilka milionów rosyjskiej pożyczki podwójnie domniemanego dziadka, świętej pamięci hrabiego Wrońskiego, nadawało się już tylko do wytapetowania dziecinnych pokoi. Niewiele większą wartość przedstawiały akcje kolei austro-węgierskiej. Pewne problemy nastręczały też nieruchomości w Niemczech. Ale, chwała Bogu, znaczna część majątku Wrońskich zarządzana przez sukcesorów mecenasa Brûlaza-Trampoliniego spoczywała bezpiecznie w bankach Genewy i Zurychu. Mimo strat i przeciwności losu Marie i jej wnuczka Hélène wiedziały, że są zabezpieczone.

Jak wszystkim wiadomo, błędem marksistów było wyobrażanie sobie, że liczy się tylko sytuacja ekonomiczna. Tymczasem równie ważne jak pieniądze, i o wiele ważniejsze, są marzenia. Jeśli idzie o marzenia połączone ze wspomnieniami, jeśli idzie o nadzieje, jeśli idzie o ambicje, to Romerowie, z ich domieszką murzyńsko-żydowskiej krwi, a w jeszcze większym stopniu O'Shaughnessy'owie z ich celtyckimi i hinduskimi antenatami, dostarczają nam ich pod dostatkiem: i jedni, i drudzy są istną wylęgarnią marzeń i kłębowskiem namiętności.

Nie ma projektu bez wspomnień; nie ma przyszłości bez przeszłości. Przeszłość O'Shaughnessych, podobnie jak

Romerów, pełna jest sekretów, ukrytych podziemnych tuneli, tajemnic i widm. Miss Prism z niejaką zachłannością zabarwioną popłochem i zgorzzeniem zebrała w Buenos Aires od dawnego cukiernika z Duque de Morny, a obecnie kucharza u Conchity Romero, niemało informacji o burzliwych dziejach rodziny Romero. Niekiedy w jej rudowłosej, anglosasko-wiktoriańsko-purytańskiej głowie rodził się zamęt. Z więcej niż zdumieniem dowiedziała się o nie tylko żydowskich, ale też o murzyńskich korzeniach swoich czterech cherubinków. Łaska boska, że nic prawie nie wiedziała o przeszłości O'Shaughnessych czy Wrońskich. Owa święta niewiedza, w której zresztą niedługo dane jej było wytrwać, umożliwiła jej podjęcie służby u lady Landsdown, będącej nikim innym – ach, ci Anglicy i ta ich etykieta... – jak panią Brianową O'Shaughnessy. Wątpię, czy Evangeline zgodziłaby się przekroczyć zwodzony most (w całości pochodzący z XIX wieku) historycznego zamku w Glangowness, gdyby wiedziała o najmniejszym choć z wybryków tych okropnych O'Shaughnessych, a tym bardziej Wrońskich, tak spokojnych, tak poprawnych i tak okrutnie dotkniętych klątwą bogów.

Zawsze ogromnie mnie fascynował motyw tajemnicy. Mam wrażenie, że z wyjątkiem upływu czasu, trudno by o coś ściślej związanego z wielkością i smutkiem kondycji ludzkiej aniżeli te sekretne historie, pozostające poza zasięgiem wiedzy, a przecież gdzieś, w jakiś niewiadomy sposób nadal żywe. Wydaje mi się, że w ten zdumiewający układ wprzęgnięta jest cała istota prawdy. Dla nas kamień probierczy prawdy kryje się w umysłach ludzi oraz w ich wzajemnym porozumieniu. W jakiej więc najwyższej

świadomości spoczywa nieznany nikomu sekret i jego mroczna prawda?

Cztery panny O'Shaughnessy: Pandora, Atalanta, Vanessa i Jessica bardzo szybko, już jako małe dziewczynki, domyśliły się istnienia jakiejś zagadki, tajemnicy, zasłony okrywającej przeszłość. Coś było niedopowiedziane, coś gdzieś kulało. Ale gdzie? Przypominało to świerzbień, które człowiek wyraźnie czuje, lecz nie może go umiejscowić. Nikt i nigdy się nie dowie, bo nawet one nie pamiętały, co takiego naprowadziło je na trop prawdy, która tak uporczywie im się wymykała. Wystarczyło jakieś jedno słowo, jakaś aluzja, nawet moment ciszy, by wszystko uruchomić. Tak czy inaczej siostry odgadywały, że jest coś do odgadnięcia, gdy tymczasem miss Prism, niczego jeszcze nieświadoma, cała szczęśliwa trwała w niemądrym przekonaniu o niewinności i zwykłości tej rodziny jakich wiele.

Tak jak istnieją różne stopnie wiedzy, tak też istnieją różne stopnie tajemnicy. Pandora miała niecałe sześć lat, a jej siostry jeszcze mniej, kiedy z życzliwą pomocą rodziny, zachwyconej, że okazuje takie zainteresowanie przeszłością, odkryła, iż babka matki jej ojca przywiozła z Indii wspaniałe szmaragdy. Od tego bajecznego skarbu do przygód rani, od pałacu radżów do nieszczęsnej pierwszej żony jej pradziadka – to wszystko było tak odległe... – był już tylko krok. Zrobienie go nie nastęrczyło żadnych trudności. Przypuszczam, że to właśnie te liche tajemnice, te trzeciorzędne sekrety stały się powodem utworzenia instytucji, o której należałoby tu wspomnieć w paru słowach.

Być może niektórzy z was pamiętają jeszcze łaskawą zgodę króla na to, by Brian O'Shaughnessy przejął

nazwisko i tytuł Landsdownów po śmierci ostatniego posiadacza tych zaszczytnych przywilejów. Syn rani, a pradziadek czterech sióstr, zmarł śmiercią naturalną ze starości wkrótce po zakończeniu wojny. Kiedy najstarsza z jego córek ukończyła siedem lat, opromieniony sławą Brian wszedł do Izby Lordów. Król, dwór, podwiązka, peruki, cudaczne przebranie nazywane galowym strojem – czyż cała ta maskarada mogła nie odcisnąć piętna na dzieciństwie sióstr? A do tego karnawału pychy dochodził jeszcze odległy głuchy grzmot dział i bomb, warkot samolotów bojowych, pochwycone w locie opowieści o straszliwych rzeziach, w których krwawą rolę odgrywał jakiś tajemniczy ciemnoskóry osobnik, nazywany przez papę Brzdącem, a także żałobne suknie i zdławiony szloch licznych ciotek i kuzynek, których syn lub brat zamieniony we wspomnienie, a niekiedy w legendę, pozostał na zawsze pod Ypres czy Gallipoli. Było jeszcze coś, i to w bliższym otoczeniu: owe zagadkowe słowa, które między polo a haftami nieustannie wlatywały niczym natrętne muszki nad stołem w parku lub zimą wokół lampy obstawionej fotografiami z dedykacją rodziny królewskiej i hrabiny Wrońskiej; słowa, takie jak „odszkodowania wojenne”, „bolszewicy”, „armia czerwona, armia biała”, „okupacja Nadrenii”, „inflacja”, „plan Dawesa”. Pandora i jej siostry zajmowały się swoimi lalkami i psem, zapewne zastępującym im brata, którego nigdy nie miały, ale również patrzyły i słuchały. Obawiam się, że już jako małe dziewczynki przejawiały niepokojącą inteligencję, która martwiła, zresztą słusznie, mieszczańską moralność i konserwatywny umysł miss Evangeline Prism.

Z tego to właśnie nieprawdopodobnego połączenia Izby Lordów, klejnotów Golkondy i powojennego zamętu narodził się Zakon Królewskiego Sekretu. Jego zebrania odbywały się w schowku na szczotki. Ani miss Prism, ani nikogo z dorosłych nie dopuszczono nigdy do udziału czy bodaj asystowania w jego rytuałach i obrzędach; ja sam znam tylko niektóre szczegóły, jakie w późniejszym czasie, niechętnie i w tajemnicy, zdradziły mi cztery siostry kompletnie pijane lub przeżywające miłosne rozterki. Zdawać by się mogło, że przysięga składana przez małe dziewczynki, liczące sobie od czterech do ośmiu lat, na mieszkankę owsianki, włosów miss Prism, psich wąsów, podstępnie oderwanego skrawka królewskiego listu oraz na wstążkę wykradzioną z maminej szkatułki nigdy nie uległa przedawnieniu. Jedynymi członkiniami zakonu były cztery siostry, z których najmłodsza była jeszcze maleństwem, ledwie zaczynającym mówić.

– Powiedz mi – zapytałem kiedyś na keczu między Rodos i Patmos, w czasach wojny koreańskiej i budowy muru berlińskiego, Vanessę zrozpaczoną i pochyloną nad kieliszkiem Veuve Clicquot, nie pierwszym tego dnia – powiedz mi, rozwiej moje wątpliwości: ta historia z zakonem ze schowka na szczotki, o której opowiadała mi Pandora, to chyba błaga, co?

– Błaga? – powiedziała Vanessa, mierząc mnie zamglonym i niechętnym spojrzeniem. – Błaga? Powiedz mi, rozwiej moje wątpliwości, czyś ty taki głupi, czy co?

– Ale przecież Jessica i ty w tamtym czasie, zwłaszcza Jessica, byłyście niemowlakami, ledwie mówiłyście. Co więc robiłyście w tej szafie na szczotki?

– Co robiłyśmy? – powtórzyła w zamyśleniu Vanessa, zanurzając palec w szampanie i powoli go oblizując. – Co robiłyśmy?

– No właśnie, co robiłyście?

– No, cóż – odrzekła Vanessa – to, co zwykle się robi w schowku. Byłyśmy posłuszne.

Gwoli prawdy muszę powiedzieć, że w innych okolicznościach Atalanta i ta sama Vanessa wybuchnęły głośnym śmiechem, słysząc mnie mówiącego o kuchennym schowku z taką czcią – niezbędną, jak uważałem, przy poruszaniu równie podniosłego tematu.

– Przecież to była błaga! – zawołała Atalanta, skrzęcając się ze śmiechu.

– Kiedy właśnie Vanessa zapewniała mnie, że wcale nie.

– Cóż, niewykluczone, że ma swoje powody.

Nigdy niczego więcej się nie dowiedziałem, wiecznie odsyłany od swoistej pogoni za Graalem do teatru mario-netek; od perlistego śmiechu do najgorszego z nieszczęść: dziecięcej rozpaczki. Tak czy inaczej, jedno jest pewne: zakon ograniczał się do czterech sióstr, które wchodziły do schowka z uczuciem, że wkraczają w tajemniczy świat, rządzący się własnymi prawami; mowy nie było, żeby je komentować czy wyjawiać. Ustanowiony w nim ceremoniał bardzo wyraźnie nawiązywał do Izby Lordów. Niektóre detale jego sztywnego protokołu obowiązywały również poza szafą. Któregoś dnia Brian i Hélène z zaskoczeniem odkryli, że ich córki zwracają się do siebie per Wasza Wysokość i mówią o sobie jako o klanie Ich Wysokości.

– Ich Wysokości? – zapytał Brian z lekką irytacją. – A cóż to takiego te Wysokości?

– To my – odpowiedziała Pandora tonem wskazującym, że mimo bardzo młodego wieku, bynajmniej nie żartuje.

– Aha! – powiedział Brian, tak jakby to, że maluchy ledwie odrosłe od ziemi uważają się za Ich Wysokości, było rzeczą najzwyczajszą w świecie.

Ta ojcowska kapitulacja w obliczu klanu Ich Wysokości oraz milczące uznanie istnienia zakonu bardzo podniosły prestiż Pandory w oczach oniemiałych sióstr.

Niekiedy Zakon Królewskiego Sekretu podejmował w swoim schowku bawiących przejazdem gości: były to Ich Wysokości zaproszone, których tytuły miały charakter tymczasowy i odwoływalny. Synom generałów i farmerów, baronetów i pastorów przysługiwało prawo do uproszczonej ceremonii inwestytury, po której opuszczali schowek z obłędem w oku. Konieczność przyłożenia sobie do czoła włosów miss Prism wymieszanych z owsianką odmieniała ich na zawsze. W wieku ośmiu czy dziewięciu lat Pandora przez dłuższy czas rozważała myśl o przyjęciu do zakonu bliźniaków Romero, Javiera i Luisa Miguela, o których często głosem nabrzmiałym łzami opowiadała jej miss Prism. Ale bliźniacy w owym czasie mieli już po szesnaście czy siedemnaście lat. Zaciągnięcie ich do schowka wiązało się z poważnym ryzykiem i było prawie niemożliwe. Po długich dyskusjach nad tym projektem Ich Wysokości zmuszone były z żalem od niego odstąpić.

O ile w opracowaniu form Zakonu Królewskiego Sekretu ważną rolę odegrał ceremoniał Izby Lordów, o tyle pomysłu na jego utworzenie oraz jego racji bytu szukać należało w samej nazwie. Jego poczynaniom patronowały

sekret i zagadka, ich kult i zgłębianie. Ciekawe, że zrodzony z dziecięcego zauroczenia klejnotami indyjskiej przodkini zakon miał stopniowo ujawnić szereg równie strasznych sekretów, z każdym dniem i odkryciem coraz bardziej zasługując na swoją proroczą nazwę.

Trzeba też od razu dodać, że w rodzinie O'Shaughnessy'ch sekretów nie brakowało. Odkrywszy, że bajeczne skarby przybyły z Indii wraz z hinduską prababką, Ich Wysokości przez długi czas oddawały się fantazjowaniu na temat tej zagadkowej postaci.

– Mamo! – mówiła Pandora.

– Tak, kochanie? – pytała z roztargnieniem Hélène, która akurat w asyście pokojówki ubierała się lub brała kąpiel.

– Czy ta pani z klejnotami przyjechała z Indii?

– Oczywiście, kochanie. Już trzy razy mnie o to pytałaś.

– I wyszła za męża za dziadka?

– Nie, kochanie. Nie za dziadka. Za dziadka twojego dziadka.

– Za dziadka dziadka?

– Twój dziadek to ojciec twojego papy. Miał na imię Sean. Nie żyje, jak wiesz. Miał żonę, która miała na imię Sybil i była twoją babką. A Sybil była wnuczką...

W tym momencie do pokoju wszedł Brian i pochwycił kilka strzępków tej rozmowy.

– Cóż to, rozmowy o genealogii? Dobrze, bardzo dobrze.

I przechodząc obok, pogłaskał jasne włosy Pandory sięgające jej do ramion.

– Mała znów mnie wypytuje o swoją ulubioną Hinduskę – wyjaśniła ze śmiechem Hélène.

– Ach! Ta rani... Ta rani!

– Co to znaczy „tarani”? – zapytała Pandora, która nie uрониła ani słowa.

– To znaczy – mruknął Brian – to znaczy... To znaczy kobieta, której śmiało z oczu patrzy.

– Mamo! Co to znaczy: której śmiało z oczu patrzy?

– Posłuchaj, Pandoro, zostaw nas teraz i idź się pobawić, chciałbym porozmawiać z twoją matką.

W schowku momentalnie zarządzono nadzwyczajne posiedzenie Zakonu Królewskiego Sekretu poświęcone tarani.

– To jest coś związanego z oczami – oznajmiła Pandora.

– Z oczami? – powtórzyła Atalanta, szeroko otwierając swoje, które były złociste i wielkie jak spodki.

– Tak właśnie. Z oczami. Tatuś powiedział, że oczy Hinduski przez cały czas płonęły. I to się nazywa tarani.

Tarani długo nie dawała spokoju Ich Wysokościom. Brian i Hélène wielokrotnie przyłapywali swoje dzieci na intensywnym wpatrywaniu się w lustro.

– Czemu tak się sobie przyglądasz w tym lusterku? Uważasz, że jesteś piękna?

– Oglądam swoje oczy.

W końcu Brian skapitulował. Kiedy Pandora, która z racji swego dorosłego wieku kierowała całością operacji, po raz dwudziesty – nie chcąc słuchać żadnych opowieści o czarodzieju Merlinie czy sześciu żonach Henryka VIII – znów zażądała od niego nowin o prababce, uznał, że najprościej i najlepiej będzie powiedzieć jej prawdę, a przynajmniej, uciekając się do pewnego kompromisu czy też przybliżonej i niekoniecznie najszcześliwszej kalkulacji, częściową prawdę.

– Widzisz Pandoro, Hinduska nie była jedyną żoną mojego pradziadka. To była jego druga żona.

– To można mieć kilka? – zapytała zdumiona Pandora.

– Oczywiście – odpowiedział Brian, zmuszony wbrew sobie brnąć dalej w tym dokładnie kierunku, którego chciał uniknąć. – Oczywiście. Przypuśćmy, że pierwsza umarła.

– Czyli pierwsza umarła – stwierdziła bezlitośnie Pandora, zdecydowana nie dać się zbyć niejasnymi ogólnikami.

– Jak można by przypuszczać – powiedział Brian.

– Albo – ciągnęła Pandora – miał dwie naraz.

– Ach, nie, nie – zaprzeczył Brian, czując, że wpada z deszczu pod rynnę. – Nie, nie, pierwsza na pewno umarła.

Jak słusznie się domyślacie, natychmiast zwołane zostało posiedzenie Zakonu Królewskiego Sekretu. Pojawiła się rzecz nowa! I to jak nowa. Prawdziwy cymes: wokół tarani krążyła śmierć. Wieść o tym wywołała w schowku sensację oraz intensywne emocje. To mała Vanessa z całą niewinnością, pozornie zdawkowym tonem wyrzekła decydujące słowa:

– A na co ta pani umarła?

– Tego się trzeba będzie dowiedzieć – powiedziała Pandora z gwałtownością stanowiącą zabawny kontrast z jej zamyśloną miną.

Pierwszy Lord Admiralicji przybyły do Glangowness na jedno z tych sławnych polowań, na które zjeżdżali również mój dziadek i ojciec – nie mogąc zapytać Pandory, jako że nie była chłopcem, co zamierza robić w przyszłości – spytał ją, czym się zajmuje, mając na myśli ogrodnictwo, kucyki i lalki. Na to Pandora ku zdumieniu czcigodnego lorda odpowiedziała:

– Rozwiązuję tajemnice.

I faktycznie je rozwiązywała. Nie wiem, z jakiego źródła czerpała swoje informacje, ale – przypuszczam, że bardziej

wskutek słabości ojca niż matki, mającej istotne powody, by trzymać rodzinne sekrety w tajemnicy – dość szybko dowiedziała się, że istniały pewne podejrzenia co do tego, że rani Prianti uśmierciła pierwszą lady Landsdown. W schowku zapanowało prawdziwe święto. Zapadła decyzja, żeby miss Prism obciąć kilka dodatkowych pukli włosów i na cześć zbrodniczej rani sporządzić nową porcję świętego i magicznego napoju na bazie owsianki. Zaczyna miss Prism, zupełnie jakby i jej udzieliło się szaleństwo sekretów i ich ujawniania, zaproponowała dzieciom następujący układ: pozwoli sobie obciąć – tylko na Boga, po co im to? – kosmyk swoich rudych, przyprószonych siwizną włosów, w zamian za co dziewczynki podzielą się z nią tymi niebywałymi rewelacjami, które wprawiały je w taką ekscytację. Tym sposobem Evangeline dowiedziała się, że pracuje u rodziny, której przodkini nie dość że siedziała na górze szmaragdów, to była także zbrodniarką.

Miss Prism zatkało z oburzenia. Gdzież podziały się te błogosławione czasy wyniosłych rygorów Conchity Romero i namaszczonej poprawności ambasadora Argentyny? Nie mogła się powstrzymać, by nie wyrazić swojej dezaprobaty za pomocą krótkich okrzyków, posiadających dar wzbudzania w dzieciach żywiołowej wesołości: *How ghastly! Revolting! Appaling!* Nie wiem, czy podzieliła się swoimi skrupułami i rozterkami duchowymi z młodą lady Landsdown. Przypuszczam raczej, że zamieszana mimo woli w zbrodnię z ubiegłego wieku wołała dzielić tajemnicę, odtąd już niejedną, z czterema podopiecznymi, które mimo młodego wieku natychmiast zorientowały się, że od tej pory będą mogły rządzić swoją guwernantką,

mimo woli winną moralnego współdziałania oraz paserstwa sekretów.

Odkrycie, że rani pozbyła się pierwszej lady Landsdown przy pomocy sikhów, było dla Pandory i jej siostr dziecinną igraszką. Sikhowie! Już samo to słowo budzi pasjonujące skojarzenia i przywołuje wizje imperium, które u dziewczynek przybierały postać sentymentalnych rojeń i cudownych koszmarów. Podejrzewam, że do świata czterech siostr seksualność wkroczyła właśnie pod postacią rozpasanych sikhów. Jakże mogli później konkurować z tą prymitywną drapieżnością dyplomaci i bankierzy? Zbiegiem okoliczności i szczęśliwym trafem – mowy nie było, żeby go zaprzęścić – ich ojciec przez długie lata służył w armii indyjskiej i nakłonienie go do opowieści o sikhach nie nastroczało żadnych trudności. Nie jestem wcale pewny, czy Brian O'Shaughnessy, dystyngowany Anglo-Irlandczyk, oficer wielkiej waleczności i członek Izby Lordów, niedorównujący jednak inteligencją i wyobraźnią własnym córkom, obecnie w wieku od lat pięciu do dziewięciu, dostrzegł pułapkę.

– Papo – mówiła Pandora, sadowiąc się na ojcowskich kolanach w niedzielę po kawie lub wieczorem przed północą spać – papo, opowiedz nam o Indiach.

Mile połączony Brian zapuszczał się na pokryte pyłem szlaki Radżastanu i w doliny Ladakhu lub Assamu. Opowiadał o świątyniach i wielkich rzekach, o Benaresie, czyli Waranasi, i o Czerwonym Forcie. Oczywiście Pandora w głowie miała wyłącznie sikhów. Raz czy dwa otarli się o porucznika Turnbulla. Czy dziecięcy geniusz, który być może wyolbrzymiam, niejasno wyczuł, że jest tu inny jeszcze sekret do zgłębienia? Nie dałbym głowy, że było

inaczej. Tak czy owak, Brianowi wcale nie zależało na rozwodzeniu się przy żonie i córkach nad swoją gorącą przyjaźnią z porucznikiem Turnbullem. Był więcej niż zadowolony, mogąc skorzystać z awaryjnej furtki w postaci sikhów, którą Pandora czujnie trzymała przed nim otworem. Żadna inna mała Brytyjka nie posiadała takiej wiedzy o sikhach, o ich wierze, ich obyczajach, ubiorze, zaletach i słabościach, co cztery siostry O'Shaughnessy. Z winy i łaski mrocznej, targanej namiętnościami prababki w ciągu kilku tygodni stały się chodzącą żywą encyklopedią cywilizacji i zbrodni sikhów.

Odbiło się to wyraźnie na protokole zakonu. Po okresie książęcym przebiegającym pod znakiem lordów nastął okres sikhów. W schowku pojawiły się turban i sztylet, i żelazna bransoleta na nadgarstku. Rozważano, czy by nie zrobić honorowymi sikhami Romerów. Byłoby to jednak dość trudne: najstarszy był dojrzałym mężczyzną, bliźniacy mieli prawie po dwadzieścia lat. Nie mieli już w sobie dość powagi, by zrozumieć wagę rytuału zakonu i obrządków odprawianych w schowku.

Kosmyki włosów, sikhowie, schowek, do którego nie miała wstępu: tego dla miss Prism było już za wiele. Gorzko żałowała szczęśliwych lat spędzonych z panią Rositą i jej czterema chłopcami w Paryżu i Buenos Aires.

– Bardzo ich kochałaś? – pytała z niejakim okrucieństwem Pandora po scenach subtelnych tortur, doprowadzających miss Prism niemal do łez.

– O, tak! O, tak! – jęczała miss Prism, pałając żądzą zemsty za niegodziwość czterech sióstr. – Kocham moich chłopców...

– A nie powinnaś – odpowiadała jak najspokojniej Pandora. – Bo to pół Żydzi, pół Murzyni.

*

Skąd Zakon Królewskiego Sekretu czerpał te informacje, nie tyle poufne, ile skrupulatnie przemilczane, kontrolowane, *restricted*; ograniczone do wąskiego kręgu, który na pewno ich nie rozgłaszał? Przypuszczalnie z codziennych rozmów, które, jak to zwykle wyobraża sobie rodzina, nie interesują dzieci, a z których dzieci ukradkiem chłoną każde słowo. Kiedy przy stole O'Shaughnessych mówiło się o miss Prism, nie sposób było nie wspomnieć o jej amerykańskiej, argentyńskiej i francuskiej przeszłości u boku Romerów. A kiedy mówiło się o Romerach, wysuwał swój pyszczek delikatnej, rudej fretki Jeremiasz Finkelstein, a w ślad za nim, za pośrednictwem Cristiny Isabel i Brazylii pojawiały się legendarne cienie genialnego łowcy przygód Periclesa Augusta i Murzynki Florindy. Niebawem w zainteresowaniach schowka miejsce dziwnych obyczajów sikhów zajęło niewolnictwo w Brazylii, tak późno zniesione. Następowały kolejne etapy studiów: wybitne znawczynie historii Indii i kultury sikhów za pomocą słowników i encyklopedii zamieniały się w ekspertki od Nordeste i schyłku niewolnictwa w cesarstwie Pedra II. A że zrobienie z braci Romerów Ich Wysokości zaproszonych oraz honorowych sikhów okazało się niemożliwe, siostry zadowolili się zdegradowaniem ich – w każdym razie w duchu i z w pełni zasłużonej zemsty – do rangi murzyńskich niewolników i polskich Żydów.

Dalsze dzieje dwóch rodów, których historie zapoczątkował *Wieczorny wiatr*.

Choć pierwsza wojna dobiegła końca, czasy wcale nie stały się spokojniejsze. Krach na Wall Street wstrząsa codziennym życiem, we Włoszech do władzy dochodzi Mussolini, a w Niemczech coraz większą władzę zyskuje Hitler. Tacy jak Hugo, Darwin, Marks, Freud, a niebawem również Picasso są zwiastunami nowych czasów. Też już nadchodzą.

Cztery siostry i czterej bracia, wplątani w wir historii, przemierzają międzywojenną Europę i Amerykę. Aureliano zostaje mianowany ambasadorem Argentyny w Anglii. Brian wybiera życie w głębokiej Szkocji. Vanessa, ku wielkiemu zaniepokojeniu wujka Churchilla, wiąże się z Rudolfem Hessem. Pandora wikła się w kolejne romanse, a Jessicą zachwyca się Hemingway. Każdy z bohaterów odciska swoje piętno na historii i na każdym z nich historia odciska swoje. Wszystkimi targają emocje.

D'Ormesson – jeden z najznakomitszych francuskich pisarzy – po mistrzowsku balansuje na granicy fikcji i prawdy, stwarzając doskonałe złudzenie, że wszystko, co opisuje, wydarzyło się naprawdę.

Daje coś niezwykłego: tajemnicze ciepło i nostalgię, połączone z subtelnym poczuciem humoru.

www.marginesy.com.pl



9 788365 282835

cena 37,90 zł